

NACZELNI WODZOWIE

(luty 1924 r.)

Piłsudski uczynił w owym czasie zagadnienie organizacji wojskowych władz naczelnych sprawą aktualną. Piłsudski czuł się powołanym do objęcia w wojsku tej pracy, która jest związana ze stanowiskiem generała, przewidzianego na Naczelnego Wodza w czasie wojny. Tak czuło wtedy i wojsko. Danie tej pracy Piłsudskiemu wiązało się z zagadnieniem: jak należy zorganizować naczelne władze wojskowe i jak ułożyć stosunek przyszłego Naczelnego Wodza do Ministra Spraw Wojskowych i Szefa Sztabu Generalnego.

Sprawa była ważna nie tylko z punktu widzenia umożliwienia Piłsudskiemu powrotu do pracy wojskowej. Piłsudski pragnął przez należyte zorganizowanie wojskowych władz naczelnych stworzyć warunki, gwarantujące możliwie najbardziej wydajną pracę wojska dla celów wojny tak, by Polska w chwilach konfliktu zbrojnego mogła wydobyć ze siebie maksimum siły.

Piłsudski chciał wywołać zainteresowanie się opinii tymi zagadnieniami i dlatego wpłynął na ówczesnego płk. Tadeusza Kutrzebę, by ten dał historyczne przykłady, jak sprawa organizacji wojskowych władz naczelnych była w innych państwach rozwiązywana i by poruszył zagadnienie stosunku Wodza Naczelnego do Rządu.

Płk. Kutrzeba wywiązał się z tego zadania i pod pseudonimem «Miles» napisał rozprawę, w której postawił dwie tezy. Pierwsza, że praca w wojsku może być wtedy owocną, gdy generał przewidziany na przyszłego Naczelnego Wodza będzie miał wpływ dominujący zarówno nad Ministrem Spraw Wojskowych, jak i nad Szefem Sztabu Generalnego. Druga teza brzmiała, że należy w czasie wojny uczynić Wodza Naczelnego członkiem gabinetu tak, by mógł on w najważniejszych chwilach brać udział w jego obradach i decyzjach.

Dla wywołania jeszcze większego zainteresowania się opinii poruszonymi przez płk. Kutrzebę sprawami, Piłsudski napisał niżej przytoczoną pracę o wpływie osobistych tarć pomiędzy dowódcami na przebieg wojen, i o stosunku Naczelnego Wodźów do rządów, stosunku niełatwego do harmonijnego ułożenia się ze względu na trudności pogodzenia nieraz wymogów polityki z wymogami działań wojennych.

Prace Piłsudskiego i płk. Kutrzeby wyszły drukiem pod

wspólnym tytułem: «Naczelní Wodzwowie» i zostały wydane w marcu 1924 r. nakładem miesięcznika «Droga» (Warszawa 1924 r.).

W archiwum «Instytutu Józefa Piłsudskiego» znajduje się brulion niżej przytoczonej pracy, pisany ręką Marszałkowej Piłsudskiej pod dyktatem autora. Na brulionie są liczne poprawki pisane ręką Piłsudskiego.

Tekst, który podajemy, jest przedrukiem wspomnianej wyżej książki: «Naczelní Wodzwowie».

Autor leżącego przed czytelnikami dziełka «Naczelní Wodzwowie» przed napisaniem utworu zwrócił się do mnie z prośbą o radę i wskazówki. Przypuszczał bowiem, że mogę je dać, jako jedyny w Polsce fachowiec w omawianej przez niego sprawie, gdyż w jedynej wojnie, którą nowa Polska prowadziła, byłem Naczelnym Wodzem jej armii. Ograniczyłem się do jednej rady — poruszać jak najmniej doświadczenia polskie, natomiast brać wszystkie argumenty z historii wojen, prowadzonych przez inne narody. Przeświadczony bowiem byłem, że omawiając sprawę, tak ważną dla nas, jak obronę świeżo otrzymanej i świeżo obronionej niepodległości, więcej chodzi o to, by argumenty były przyjęte, niż o co innego. Niechybnie zaś wszystko to, co jest obce, wzbudza wśród Polaków wrażenie wielkości, a to, co swoje, wzbudza wątpliwości o prawdziwości faktów historycznych, widzianych nawet na własne oczy.

Sam postąpię też według tej rady, gdy proszony przez wydawców, rozwinę temat, rozpatrzony w cennej pracy mego przyjaciela, i postaram się zanalizować te strony życia wojny i pracy naczelných wodzów, które zaledwie są dotknięte przez autora.

Historia wojen, tak, jak i w ogóle historia, ma swe wstydlíwe, że tak powiem, zakątki. Nieledwie każdy historyk niechętnie zagląda do nich, niechętnie analizuje ich znaczenie, jak gdyby obawiając się zaćmić nimi wielkie słońce prawdy historycznej. Takim właśnie zakątkiem w historii wojen jest analiza personalnych stosunków główných aktorów tej czy innej pracy historycznej, tych czy innych wojen, które dotąd stały prawie zawsze na progu przełomów życia ludzkości. Tak zwani poważni historycy zbyt często pozostawiają te personalne stosunki, jakby je lekceważąc, historycznej anegdocie, w najlepszym wypadku usuwają je do zakresu prac monograficznych i biograficznych. Tymczasem przy bacznej i dostatecznie głęboko posuniętej analizie wypadków znajdziemy zawsze czynnik o niepośledniej wadze, czynnik stosunków personalnych, wywierający swój wpływ często nawet decydujący. Nie chcę

czynnika tego przeceniać, lecz wstydliwie narzucać nań zasłone znaczący, zdaniem moim, w najżywszym tworzywie pracy ludzkiej — w wojnie — przestać widzieć żywych ludzi, a spostrzegać tylko manekiny i działanie różnych maszyn wojennych.

Przy studiach swoich nad historią wojen natrafiałem bardzo często na wybitny nieraz wpływ personalnych stosunków pomiędzy dowódcami na przebieg największych nawet w świecie bitew i na całą pracę wojny. Z licznych przykładów, które żywo stoją mi w pamięci, wybieram niektóre.

W epokowej, podwójnej bitwie pod Jeną¹⁾ i Auerstaedt²⁾, bitwie, która złamała potęgę pruską, marszałek Davoût, niespodzianie dla siebie, stanął w gorącym boju z głównymi siłami pruskimi, wśród których obecnym był sam król pruski. Borykając się w ciężkiej walce z przemożnym wrogiem, niepewny swego losu, błagał o pomoc swego najbliższego sąsiada, manewrującego jeszcze bez boju, marszałka Bernadotte'a³⁾. Marszałek Bernadotte pomocy odmówił i, zasłaniając się rozkazami cesarza, usuwał się od Auerstaedt, idąc w kierunku Weimaru, tak, że korpus jego w tym decydującym dniu nie brał udziału w żadnej z tych dwu bitew. Wszyscy pamiętnikarze, wszyscy historycy przypisują to jedynie wrogim stosunkom personalnym, jakie pomiędzy obu marszałkami istniały. A w tym czasie, gdy Bernadotte złośliwie pozostawił swego kolegę w trudnej sytuacji, losy korpusu Davoût, jak i losy głównych sił pruskich, ważyły się i chwiałały przez dzień prawie cały, nim wreszcie energia i talent marszałka i nadzwyczajne wysiłki jego żołnierzy nie przechyliły szali zwycięstwa na jego stronę.

Dzieje epoki napoleońskiej dają mnóstwo podobnych przykładów. Cała długa kampania hiszpańska, a z nią razem i rosnąca sława Wellingtona⁴⁾, późniejszego zwycięzcy Napoleona pod Waterloo, była nieustanną ilustracją wpływu zadraśnień personalnych na przebieg wypadków. Marszałkowie i ge-

¹⁾ Jena, miasteczko w Turynii. Pod Jeną w wojnie 1806 r. została rozbita armia prusko-saska 14. X. przez Wielką Armię francuską, dowodzoną przez cesarza Napoleona.

²⁾ Auerstaedt (Auerstädt), wieś w Saksonii prus., gdzie odniósł zwycięstwo marszałek Davoût dn. 14. X. 1806 r. nad Prusakami.

³⁾ Karol Bernadotte, marszałek francuski, król Szwecji. Dowódca korpusu w bitwie pod Jeną. Brał udział i odznaczył się w szeregu wypraw wielkiej rewolucji i Napoleona.

⁴⁾ Arthur Wellesley Wellington, książę Waterloo, angielski wódz i mąż stanu. 18. VI. 1815 r. pobił (wraz z Blücherem) Napoleona I pod Waterloo.

nerałowie francuscy nie chcieli uznawać nad sobą żadnego autorytetu, oprócz autorytetu cesarza. Tracono czas na nieustanne kłótnie i waśnie, podstawiano sobie nogę przy operacjach wojennych, unikano posłuszeństwa i dyscypliny, jak jakiej ubliżającej, brudnej choroby. Praca wojenna rwała się, jak nadgniła nitka, nieprzyjaciel raz po raz wykorzystywał sytuację, a autorytet francuski, oparty na błyskawicznych, oszalamiających zwycięstwach Napoleona, padał szybko w Hiszpanii, podtrzymując tym powstanie i zamieszki wśród ludności. Wpływ zaś historyczny przeciągłej i zgnilej wojny hiszpańskiej, wiążącej wielką ilość sił Napoleona, dawał się odczuwać zarówno w kryzysie, jak i w upadku potęgi wielkiego cesarza Francuzów.

Ileż tarć personalnych, ile trudnych sytuacji przeżył sam Napoleon w swojej dziwnej, zawrotnej karierze wojennej! Dość wspomnieć początkowe jego kroki w pierwszej klasycznej kampanii włoskiej, gdy generałowie, dowodzący na tym froncie przed jego przyjazdem, zmawiali się pomiędzy sobą, jak wykazać niechęć do jakiegoś smarkacza, przysłanego na ich utrapienie z Paryża na naczelnego wodza. Geniusz i olbrzymia wola przewyciężyły wszystko, lecz ile drobnych ukłuc i upokorzeń szarpać musiało nerwy lwa, ile chytrych i wybiegów zastosować musiał lew, by utorować sobie drogę wśród lisów i zajęcy. Czy nie stamtąd pochodzi, na pół upokarzający geniusz, a na pół tchnięty wzgardą, aforyzm Napoleona, że wielki wódz musi być komediantem.

A historyczny spór i waśnie Bonapartego, już pierwszego konsula, z generałem Moreau¹⁾, gdy zwycięzca pod Hohenlinden²⁾ nie mógł się zdobyć na poddanie się geniuszowi Marengo³⁾. Gdy się zaczyna myśleć o tej niekiedy zabawnej i śmiesznej, niekiedy tragicznej pracy ludzi podczas wojny, gdy się przerzuca karty historii i najżywsze dokumenty życia — listy prywatne i pamiętniki, gdy się analizuje i porządkuje fakty i zdarzenia według ich wagi i siły historycznej, nie można się

¹⁾ Jean Victor Moreau, generał francuski; w r. 1800 zwycięzca pod Hohenlinden; w 1804 r. oskarżony o udział w zamachu na Napoleona, aresztowany i wygnany; w 1813 stanął po stronie koalicji.

²⁾ Hohenlinden, wieś w Górnej Bawarii (Niemcy), gdzie 3 grudnia 1800 r. zwyciężyli Francuzi pod dowództwem Moreau wojska austriacko-bawarskie pod wodzą arcyks. Jana. Następstwem tej bitwy było zawarcie przez cesarza Franciszka niekorzystnego dla Austrii rozejmu w Steyr.

³⁾ Marengo, przedmieście miasta Alessandrii (płn. Włochy), słynne ze zwycięstwa, jakie tam odniósł Napoleon nad Austriakami dn. 14. VI. 1800 r.

czasem oprzeć paradoksalnym nieraz wywodom, wynikającym z analizy stosunków personalnych na wojnie.

Więc przypuśćmy np. — a przypuścić to bardzo łatwo, — że marszałek Davoût i marszałek Bernadotte, zamiast być wrogami osobistymi, byli serdecznymi przyjaciółmi i w dziejowej godzinie Auerstaedu Bernadotte, zamiast unikać boju i za to potem wpaść w niełaskę i być prawie wyrzuconym z wojska, pobiegl na pomoc słabnącemu w nierównej walce przyjacielowi. Nie ma wątpliwości, że to przybycie świeżego korpusu musiałyby prawie natychmiast zdecydować o losach boju i oddać w ręce marszałków nie tylko zwycięstwo, które i tak przez samego Davoût było odniesione, lecz prawdopodobnie i główną kwaterę pruską wraz z królem. Najprawdopodobniejszym tego wynikiem wtedy byłoby szybkie zawarcie pokoju i... nie byłoby ani Tylży ¹⁾, ani Księstwa Warszawskiego.

W gorącym, wulkanicznym życiu rewolucyjnej Francji i w bujnej epoce wojen napoleońskich musiały rosnąć i rozwijać się silne charaktery wraz z silnymi uczuciami nienawiści czy przyjaźni. Anormalne stosunki z ich ogromną łatwością szybkiego wywyższania się nad innych lub tracenia równie szybkiego nie tylko kariery życiowej, lecz i samego życia, wytwarzać musiały silne, niepohamowane ambicje wraz z nieokielzaną zawiścią w stosunku do szczęśliwych wybrańców losu. Dlatego nie chcę się zatrzymać jedynie na przykładach właśnie z tej epoki. Dla udowodnienia wielkiej wagi stosunków personalnych pomiędzy ludźmi podczas wojny przytoczę jeszcze przykład z armij monarchistycznych, mających zwykle bardziej utrwalone i uregulowane posuwanie się naprzód w karierze militarnej. Rozmyślnie wybieram epizod z wojny francusko-niemieckiej 1870 r., w którym może najjaskrawiej, jak gdyby dla nauki, skupione zostały po obu stronach walczących wszystkie zdraśnienia i niechęci personalne, wszystkie złości i znaczne uchybienia dyscyplinie wojskowej. Epizodem tym jest dziwaczna bitwa pod Spicheren ²⁾, otwierająca kampanię 1870 r., bitwa, pełna dziwacznych nieporozumień, pełna błędów najbardziej rażących. Szala zwycięstwa, przy analizie obiektywnej, chwieje się dzień cały 6 sierpnia 1870 r. tak gwałtownie i śmiesznie, jak gdyby co godzinę zwycięzcy groziła

¹⁾ Tylża (niem. Tilsit), miasto w Prusach Wschodnich, nad Niemnem. 7—9 lipca 1807 r. zawarł tu Napoleon pokój z Prusami i Rosją, w którym zostało stworzone Księstwo Warszawskie.

²⁾ Spicheren (po franc. Spicheren, po niemiecku Spichern); gm. w Lotaryngii.

kłęska, a zwycięzonemu świeciła już gwiazda tryumfu w następnej chwili.

Bitwa została stoczona na skutek wyraźnego nieposłuszeństwa dowódcy 1-ej armii niemieckiej, gen. von Steinmetza ¹⁾. Nieposłuszeństwo zaś nie było wywołane przez jakieś zniewalające do nieposłuszeństwa działanie nieprzyjacielskie, gdyż Francuzi nie ruszali się wcale. Von Steinmetz, lew Nachodu ²⁾, okryty chwałą bitwy pod Nachodem w r. 1866, nie znosił wywyższonego nagle Moltkego ³⁾, czuł dokoła siebie, we własnym sztabie, splot intryg, czynionych z ramienia Moltkego, i nie chciał ustąpić pierwszeństwa zasługi pobicia nieprzyjaciela wybranemu, jak mu się zdawało, do odegrania roli zwycięzcy, dowódcy sąsiedniej 2-ej armii, ks. Fryderykowi Karolowi ⁴⁾.

Oto stosunki, jakie panują na początku wojny w armii 1-ej i 2-ej. Pułkownik Wartensleben ⁵⁾ ze sztabu gen. Steinmetza pisze tak o tym okresie czasu: «Prowadzimy tutaj (w sztabie 1-ej armii) dwie wojny — jedną przeciw Francuzom, drugą przeciw Steinmetzowi». W sztabie 2-ej armii mówi głośno: «my boimy się mniej Francuzów, niż Steinmetza». Odwrotnie, sam Steinmetz pisze: «Fryderyk Karol i ja jesteśmy, jak dwa krzemienie, tarcie daje wciąż iskry». Na skutek takich stosunków niedługo trzeba było czekać.

Francuzi na samym początku wojny zajęli pograniczne miasto Saarbrücken ⁶⁾. Ostrożna koncentracja Moltkego opóźnia znacznie nadejście nad rzekę Saarę 2-ej armii, gdy 1-sza, gen. Steinmetza, w dwóch trzecich swej siły jest już zebrana

¹⁾ Karl Friedrich Steinmetz, pruski feldmarszałek (1796—1877), zwyciężył w r. 1866 w wojnie z Austrią pod Nachod, Skalitz i Schweinschädel; 1870 r. dowodził w wojnie z Francją pod Spichern i Gravelotte pierwszą armią. Potem gubernator W. Księstwa Poznańskiego i Śląska, od 1871 r. feldmarszałek.

²⁾ Nachod (Náchod), m. w Czechosłowacji, pamiętne zwycięstwem wojsk pruskich pod wodzą Steinmetza nad Austriakami 27. VI. 1866 r.

³⁾ Hellmuth Moltke (starszy), hr. von, feldmarszałek pruski; 1858—1888 r. szef pruskiego sztabu generalnego.

⁴⁾ Fryderyk Karol Mikołaj, książę pruski. W wojnie francusko-niemieckiej otrzymał naczelne dowództwo nad drugą armią niemiecką; dnia 16 sierpnia odparł w bitwie pod Vionville armię francuską pod marszałkiem Bazaine ku Metz, a przez zwycięstwo pod Gravelotte (18. VIII.) nad prawym skrzydłem nieprzyjaciela rozstrzygnął bitwę.

⁵⁾ Hermann Wartensleben hr., pruski gen. kawalerii. W 1870 r. był głównym kwatermistrzem 1-ej armii.

⁶⁾ Saarbrücken m. nad rzeką Saar, w pruskiej regencji Trewirskiej; obecnie stolica okręgu Saary. 2 sierpnia 1870 r. miasto to ostrzelwane było przez Francuzów; 6 sierpnia 1870 r. odbyła się tam pierwsza ważna bitwa pomiędzy 1 armią pruską, dowodzoną przez Steinmetz'a, a korpusem francuskim, dowodzonym przez Frossard'a.

niedaleko od rzeki. Depesza Moltkego nakazuje Steinmetzowi czekać nadejścia 2-ej armii i przy podziale dróg droga do Saarbrücken wraz z tym miastem jest wyznaczona wyraźnie armii 2-ej. Ba, awangarda tej armii, korpus III, idąc po tej drodze, zjawia się w przeddzień bitwy spichereńskiej pod samym, że tak powiem, nosem Steinmetza.

Rozkazy Moltkego są wyraźne. 5 sierpnia o godz. 6 rano wysłał depeszę do Steinmetza: «Tylko wtedy, gdy 2-ga armia zbliży się do Saary, będzie czas dla 1-ej armii przechodzić rzekę. Ofensywa cząstkowa i odosobniona prawdopodobnie prowadzić musi do klęski». Tegoż dnia w południe pędzi do wściekłego Steinmetza depesza druga. Nakazuje ona oswobodzić zupełnie drogę na Saarbrücken dla ruchu 2-ej armii, wskazuje, jako cel, obejście lewego skrzydła francuskiego, gdy 2-ga armia zaatakuje ją z frontu, przewiduje możliwość tej operacji dopiero od 9 sierpnia i wreszcie dodaje wyraźnie: «Jego Królewska Mość rezerwuje sobie stanowczo wydanie rozkazów dla wykonania tej operacji».

Gen. Steinmetz widzi w tych rozkazach po prostu osobistą obrazę. Więc nieprzyjaciela, który jest tu przed nim, ma pobić Fryderyk Karol, «protégé»¹⁾ znieawidzonego Moltkego? Nie, Steinmetz do tego nie dopuści, nie darmo zwą go lwem Nachodu. Chytrze wydaje rozkaz zabiec drogę saarbrückenską 2-ej armii i nieokreślonym sformułowaniem tego rozkazu podsuwa swym podwładnym myśl przejścia rzeki następnego dnia. Dowódcy korpusów w lot pojmują myśl swego przełożonego i 14-ta dywizja pod różnymi pozorami, na oczach zdumionej kawalerii 2-ej armii, maszeruje po drodze, przeznaczonej dla 2-ej armii, przekracza rzekę Saarę, spędza awangardę francuską i zawiązuje, niespodzianie dla wszystkich, ciężki, nieprzygotowany zupełnie bój pod Spicheren.

Skutki tych kroków Steinmetza i jego podwładnych są zupełnie niezwykle dla tak zwartej organizacji, jak armia pruska, i zupełnie sprzeczne z tradycjami i z duchem twardej dyscypliny wojsk dynastii Hohenzollernów. Bataliony, baterie, całe brygady nadciągają do boju w jakimś chaosie, w bezładzie, nie kierowane z góry żadną ręką, prowadzone jedynie pięknym, rycerskim uczuciem dania pomocy kolegom, będącym w opresji. Z wielkim trudem, jak gdyby przypadkowo, ustala się kierownictwo bitwą. Dochodzi do tego, że zebrani pod wieczór na jakimś pogórku trzej dowódcy korpusu naradzają się pomiędzy sobą, kto właśnie z pomiędzy nich ma objąć dowodzenie, czy ten, kto rangą jest najstarszy, czy ten, kto zdą-

¹⁾ protegowany.

żył wprowadzić do boju największą liczbę podkomendnych mu wojsk. Bitwa rozpryskuje się na poszczególne epizody, rwie się i płacze prawie bez systemu, dając raz po raz przewagę nieprzyjacielowi i wytwarzając ustawicznie obiektywne warunki dla zupełnego zwycięstwa francuskiego.

Lecz i po stronie francuskiej znajdziemy również wpływy zdraśń personalnych. Bitwą, co prawda, dowodzi jedna ręka, jest nią gen. Frossard ¹⁾, dowódca II korpusu, i jego podwładni, trzej dywizjonerowie, nie wykazują ani chwili wahania, gdy spełniają jego rozkazy. Lecz niedaleko od niego stoją dwie dywizje z obcego korpusu, a nieco dalej, w St. Arold, marszałek Bazaine ²⁾, świeżo wyznaczony dowódca i gen. Frossard. Przy śledzeniu różnych perypetyj bitwy prawie nieodzownie nasuwa się przypuszczenie, że zjawienie się na placu boju dwóch sąsiednich dywizyj, nie mówiąc o trzeciej z St. Arold, rozstrzygnęłoby najzupełniej dzień 6 sierpnia na korzyść Francuzów. Lecz nikt się nie rusza. Dopiero wieczorem, prawie przed samą decyzją gen. Frossard wycofania się z boju, na rozpaczliwą depezę słabnącego gen. Frossard, jego wódz, marszałek Bazaine, posyła mu jedną dywizję gen. Métman i brygadę jazdy na pomoc. Niechybnie w tej dziwnej pasywności kolegów i przełożonego gen. Frossarda największą rolę odegrały teorie i teoryjki o wartości defensywy i silnych pozycji, panujące w owych czasach w armii francuskiej. Nie bez znaczenia jednak był fakt, że gen. Frossard był powołany na dwór cesarski, by wychować następcę tronu Napoleona III ³⁾. Wzbudził tym dużą zawiść wśród kolegów, którzy mu darować nie mogli tego wywyższenia. Świadczą o tym pogardliwe słowa marszałka Bazaine'a, wyrzeczone podczas bitwy spicherenńskiej: «le maître d'école est dans le pétrin; qu'il se débrouille»⁴⁾. I drugie wyrażenie z tegoż samego dnia: «Trzy lata gen. Frossard studiuję pozycje w Forbucku i uważa za wspaniałe dla dania bitwy. A więc ma on nareszcie tę swoją bitwę».

Nieraz, gdy jeszcze nie znałem realnego życia wojennego,

¹⁾ Charles Auguste Frossard, generał francuski. 1870 r. którego armia została rozbita pod Spicheren, wzięty do niewoli po kapitulacji Metz.

²⁾ Franciszek Achilles Bazaine, marsz. francuski. W wojnie z Prusami w r. 1870 był dowódcą tak zw. armii reńskiej, pobity pod Metzem musiał zamknąć się w twierdzy; 27 października kapitulował i za to w r. 1872 został oskarżony o zdradę.

³⁾ Napoleon Eugène Louis Jean Joseph, ks., syn Napoleona III (1856—1879), uznany w r. 1874 przez bonapartystów za Napoleona IV; zginął jako ochotnik w wojnie z Zulusami w Afryce.

⁴⁾ Nauczyciel jest w kłopotcie; niech się z niego wykaraska.

zastanawiałem się nad tą dziwną bitwą i nad możliwymi konsekwencjami jej na dalszy przebieg wojny. Bezład strategiczny i chaos bitewny pod Spicheren ze strony niemieckiej był rzucający się w oczy. Zawsze zdawało mi się, że wystarczyłoby trochę choćby energii, wykazanej ze strony francuskiej armii, a walne zwycięstwo byłoby po stronie Francji. Przypominałem sobie kwaśną, niechętną ocenę tej bitwy przez Moltkego, który, wyrażając swój ujemny sąd o pracy Steinmetza, tego dnia jednak stwierdził wielkie moralne znaczenie taktycznego zwycięstwa na początku wojny. Zawsze przypuszczałem, że wszystkie obiektywne warunki składały się na to, aby ta wielka moralna korzyść była po stronie francuskiej. Teraz zaś, po przebyciu tylu doświadczeń wojennych, śmiało przypuszczenie moje z czasów studiów nad bitwą rozszerzyłbym znacznie. Dość przypuścić — co nie jest wcale trudnym — że albo ponury Bazaine był przyjacielem Frossard'a, albo że na czele korpusu, walczącego pod Spicheren, stał nie «*maître d'école*» następcy tronu, lecz zwyczajny generał, to energia Bazaine'a byłaby pobudzoną, chociażby dla zyskania dla siebie sławy pierwszego zwycięstwa. A wtedy dwie trzecie 1-ej armii Steinmetza wraz z dodatkami 2-ej armii, rzucone silniejszym pchnięciem wstecz, musiałyby z konieczności zawalić wszystkie drogi, wyznaczone dla pochodu 2-ej armii i powstrzymać rozwinięcie strategiczne Moltkego, dając na pewno czas, dostateczny dla zakończenia spóźnionej mobilizacji francuskiej. Możeby wtedy i wojna 1870 r. wyglądała inaczej, możeby energia, rozbudzona u Francuzów zwycięstwem, nie dała Sedanu, nie dałaby obłędzenia i kapitulacji Paryża. A zatem może i skutki Sedanu i kapitulacji Paryża dla całego świata nie byłyby tak smutne i tak trudne do odrobienia.

W historii wojen znaleźćby można było mnóstwo przykładów tego rodzaju, mnóstwo wstydliwych zakątków historii. Tych zakątków, w których, że użyję słów Steinmetza, «widocznymi są skry, wywołane przez tarcie różnego rodzaju krzemieni». Wpływ tych tarć na przebieg wojny jest niechybny i nie brać pod uwagę, nie starać się zawczasu, przed wybuchem wojny, ich usunąć lub co najmniej zneutralizować, byłoby wielkim błędem. Dla każdego zaś naczelnego wodza sprawy personalne są dodatkowym ciężarem, cisnącym i szarpającym jego nerwy, a zabierającym znacznie więcej czasu i pracy, niż sobie to ludzie wyobrażają.

Nie chcę zakończyć historycznych przykładów, nie dotknąwszy naszej rodzimej gleby.

Zawsze w pamięci mi stoi główna kwatera wojska 1831 r.

z gen. Skrzyneckim na czele. Naczelnym wódz ma tępą głowę, nie ma w sobie ani krzty tego, co nad niziny taktyczne wodza wynosi, co wielki Napoleon nazywa «l'art supérieur de la guerre» ¹⁾. Obok niego sztab. Z jednej strony zgryźliwy, żółciowy, niechętny dla wszystkich szef sztabu, Chrzanowski. Z drugiej — lotny, impulsywny, szybki w orientacji, namiętny w sporze, kwatermistrz Prądyński. Jakżeż wygląda współpraca? Dwa krzemienie, skry dające, to Chrzanowski i Prądyński. Tylko za pomocą tych skier rozświeśla się tępa głowa Skrzyneckiego, który wygląda wtedy, jak wesz, żywiąca się sporem wyższych od siebie talentów. Tępa głowa, leniwie myśląca o pracy, zajęta myślami o dobrym kucharzu i o reklamie za pomocą parad i dobrych obiadów.

Mniej wstydlivym zakątkiem w historii wojen są personalne stosunki naczelników wodzów z rządem i ludźmi, ten rząd składającymi. Wszędzie ludzie są ludźmi i wszędzie tarcia krzemieni skry dawać mogą i muszą. Historia mniej wstydzi się tych skier może dlatego, że łatwiej jest, stosownie do humoru, zwać winę to na jedną, to na drugą stronę. Współzycie jednak naczelnego wodza z rządem i jego ludźmi jest konieczne. Wpływa ono niechybnie zarówno na przebieg wojny, jak i na codzienny stan nerwów naczelnego wodza. Dla ilustracji tej dziedziny wybrałem ładny przykład stosunku marszałka Frencha ²⁾, dowodzącego armią angielską w początkach t. zw. wojny światowej, do ministra spraw wojskowych w gabinecie angielskim, lorda Kitchenera ³⁾. Dwóch tych ludzi wiązała historia z poprzedniej wojny południowo-afrykańskiej. Kitchener był podczas niej przełożonym Frencha, przez pewien czas nawet naczelnym wodzem. Co więcej — gdy marszałkowi Frenchowi powiedziano, że jest przewidziany na naczelnego wodza armii na wypadek udziału w wojnie francusko-niemieckiej, robił bezskuteczne starania i w rządzie, i u samego lorda Kitchenera, by ten właśnie objął dowództwo, obiecując mu lojalną współpracę w roli podwładnego mu szefa sztabu.

Cytuję od razu bez pewności, czy dosłownie przetłumaczyć mogę angielski tekst, który mam przed sobą, określenie marszałka Frencha o stosunku jego do lorda Kitchenera. «Jako

¹⁾ Najwyższa sztuka wojenna.

²⁾ Jan Denton Pinkstone French, marsz. ang., który po wybuchu wojny światowej został naczelnym wodzem sił ang., działających na froncie zachodnim, w r. 1915 odwołany z tego stanowiska, objął dowództwo wojsk ang. w kraju.

³⁾ Mowa o gen. Herbercie Kitchenerze, który w r. 1914 był ministrem spraw wojskowych w Anglii.

żołnierza i dowódcę w polu, zawsze go lubiłem i szanowałem. W stosunku do jego właściwości, jako męża stanu i ministra, moje uczucia i wycucia («feelings») nigdy nie były te same. Zgodzę się przypuścić, że różnice zdań pomiędzy nami — a te były duże i daleko sięgające — mogły być do pewnego stopnia moim własnym błędem, lecz gdyby tak i było, nasze wzajemne stosunki aż do czasu jego tragicznej śmierci były zawsze zaćmione przez pewne wzajemne niezaufanie». Daję umyślnie tę długą cytate, charakteryzującą tak pięknie zarówno dżentelmeństwo w najwyższym stylu, jak i delikatność serca marszałka Frencha, gdy mówi o tarcjach między nim a lordem Kitchenerem, które z wielkim wydatkiem nerwów i sił swoich prawdopodobnie przeżywał.

Nieporozumienia pomiędzy dowodzącym armią angielską w polu i sekretarzem stanu dla wojny (ministrem) w rządzie Jego Królewskiej Mości zaczęły się prawie natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych. Najsilniej jednak przejawily się w krytycznym momencie upadku Antwerpii¹⁾ i, jak wiadomo, w dużym stopniu zagroziły bezpośrednim interesom Anglii podczas wojny. W tarcjach tych stroną agresywną i aktywną był lord Kitchener. Po zwycięstwie nad Marną, w bojach nad rzeką Aisne²⁾ siły angielskie związane były we wspólnej pracy z całą armią francuską, stanowiąc już od paru tygodni część nierozłączną całego rozkładu wojsk francusko-angielskich. Gdy obrona Antwerpii przez armię belgijską słabnąć zaczęła i widocznymi były pierwsze oznaki zbliżającej się katastrofy dla fortecy, marszałek French, zgodnie z instrukcjami swego rządu, rozpoczął natychmiast starania o przeniesienie sił angielskich na północ, by być bliżej wypadków i móc szybciej podać pomocną rękę armii belgijskiej. Pertraktacje w sprawie manewru prowadzone były przez marszałka Frencha z dowodzącym armią francuską obecnym marszałkiem Joffre'm. Pertraktacje trwały zbyt długo dla lorda Kitchenera, zatroszonego i niespokojnego o los Antwerpii i wybrzeża morskiego. Zaczyna więc nacisk ze swojej strony nie tylko na marszałka Frencha, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, lecz czyni zabiegi poza plecami naczelnego wodza we wszystkich możliwych kierunkach. Raz po raz marszałek French dowiaduje się, że tak powiem, ze strony o różnych faktach, już dokonanych,

¹⁾ Antwerpia, belgijska forteca na prawym brzegu rzeki Skaldy. Podczas wojny światowej oblężenie Antwerpii zaczęło się dn. 28 września 1914 r., kapitulacja nastąpiła dnia 9 października 1914 r.

²⁾ Aisne, lewobrzeżny dopływ rzeki Oise we Francji płn. Mowa o 1-ej bitwie nad rzeką Aisne dn. 13—15 września 1914 r.

o różnych żądaniach Kitchenera, sprzecznych ze stanem pertraktacyj, prowadzonych z gen. Joffre'm. Stawia to ciągle marszałka Frencha w fałszywej sytuacji, zmniejszając niechybnie jego autorytet, jako naczelnego wodza sił angielskich, i doprowadza przy samym upadku Antwerpii do wielkiego zamieszania w stosunkach dowodzenia.

Na pomoc dla Antwerpii wysyłano właśnie 7-mą dywizję angielską, dywizję kawalerii i część marynarki pod dowództwem gen. Rawlinsona ¹⁾. W chwili upadania Antwerpii gen. Rawlinson już nie wiedział, od kogo właściwie zależy. Była nawet mowa o możliwości powrotu wojsk do Anglii i biedny gen. Rawlinson szukał swego przełożonego z zapytaniem, co ma robić.

O tej «*confusion of ideas*» ²⁾ świadczy depesza marszałka Frencha do gen. Rawlinsona. Brzmi ona: «Pańska depesza nr 19 do lorda Kitchenera i powtórzona do mnie, otrzymana. Ja istotnie nie rozumiem, czy pan uważa siebie za będącego pod moimi rozkazami, czy nie. Ale jeżeli pan sądzi, że tak, proszę być tak grzecznym natychmiast mi wytłumaczyć jasno swoją sytuację, gdyż ja nie mam żadnej wiadomości o jakiegokolwiek konieczności dla pana powrotu do Anglii («*reembarkation*»), albo o pańskiej intencji uczynienia tego. Haazebrouck ³⁾ będzie zajęty przez III korpus jutro rano. Proszę w jakikolwiek sposób odpowiedzieć mi natychmiast, gdyż moje własne i gen. Joffre'a plany zależą bardzo od tego i mogą być skompromitowane przez całe to nieporozumienie».

Nie chcę wdawać się w dokładniejszą analizę wypadków wojennych z okresu pierwszych dni października 1914 r., wypadków, związanych z upadkiem Antwerpii, chociażby dlatego, że nigdy tej części operacyj wojennych nie studiowałem. Przytoczę więc tylko zdanie samego marszałka Frencha, że przy innym użyciu wojsk Rawlinsona, bardziej zgodnym z planami naczelnego wodza angielskiego i z zamiarami marszałka Joffre'a, można było osiągnąć co najmniej skuteczną obronę Lille ⁴⁾, a nawet Ostendy i Seebrugge ⁵⁾. Dałoby to Anglii, jak słusznie twierdzi marszałek French, uniknięcie jej stałych trwóg («*infinite trouble*»).

¹⁾ Henry Seymour Rawlinson, gen. ang., w czasie wojny światowej dowodził na froncie franc.

²⁾ Pomieszanie planów.

³⁾ Hazebrouck (lub Haazebrouck), m. w depart. du Nord (Francja pñ.), nad kanałem rzeki Lys.

⁴⁾ Lille, m. w depart. du Nord (Francja pñ.) nad rzeką Deule.

⁵⁾ Zeebrugge (lub Seebrugge), port zewnętrzny Brugii (Belgia), zbudowany w latach 1895—1907.

Niechybnie jednak każdy, oswojony choć cokolwiek z operacjami wojennymi, przyzna, że sytuacja oddziału, reprezentującego w owe czasy siódmą część sił angielskich, nie należała do normalnych i była krytyczną. Dowódca tego oddziału musiał rozpaczliwie szukać specjalnymi depeszami przełożonego, któryby mu pomógł i rozkazem rozwiął mu jego poważne, prawie rozpaczliwe wątpliwości. Stało się zaś to jedynie z powodu nieopatrzności, powiedziałbym złośliwego, wtrącenia członka lub członków rządu do funkcji naczelnego wodza.

Śluszenie też marszałek French, poświęciwszy cały rozdział swoich pamiętników temu momentowi, dodaje, że zatrzymał się nad tym faktem dla przestrogi swojej ojczyzny, gdyby w przyszłości miała być ona zaangażowana znowu w jakiegokolwiek działania wojenne. «Kłeska sedańska — mówi on — była wywołana w części przez spory («interference») pomiędzy Paryżem a armią w polu, a amerykańska wojna cywilna¹⁾ bardziej, niż prawdopodobnie, została znacznie przedłużona przez kilkakrotne wtrącenie się ze strony sekretarza stanu do spraw dowódców w polu».

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia innego faktu z dziedziny stosunków marszałka Frencha z lordem Kitchenerem, faktu nadzwyczaj charakterystycznego, chociaż dla powierzchniowego sądu nieznacznego. Nie mogę nie powiedzieć, że jest mi przykro przytaczać świeży historycznie fakt, dotyczący się jednego z lepszych żołnierzy świata, jakim był niewątpliwie lord Kitchener. Na usprawiedliwienie mam ten sam argument, który zawarty jest w wyżej przytoczonej cytacie z pamiętników marszałka Frencha²⁾.

Wskutek wielkiej różnicy zdań przed bitwą nad Marną przybył do Paryża 1 września lord Kitchener, uważany przez marszałka Frencha, jak on sam pisze, za reprezentanta rządu Jego Królewskiej Mości. Lord przybył w uniformie feldmarszałka, na samym początku rozmowy wziął ton naczelnego wodza i zapowiedział pobyt swój w polu dla inspekcji stanu armii. Z wielką energią wystąpił przeciwko temu zamiarowi ambasador angielski, który natychmiast sformułował depeszę do Londynu, protestującą przeciwko temu zamiarowi. Pomiędzy obu generałami nastąpiła żywa wymiana myśli, po której lord Ki-

¹⁾ Mowa o amerykańskiej wojnie cywilnej, która toczyła się w latach 1861—1865 między stanami południowymi i północnymi.

²⁾ Mowa o pamiętnikach p. t. «Memories of Forty Eight Years Service» (wyd. w 1925 r.) Jana Dentona Pinkstone'a Frencha, wspomnianego na str. 177.

tchener rzekł się swego zamiaru obniżania autorytetu istotnego naczelnego wodza sił angielskich, marszałka Frencha, i brał udział w dalszych konferencjach z rządem francuskim już w cywilnym ubraniu, w istotnej swojej roli członka gabinetu w Londynie. Łatwo sobie wyobrazić można, ile przykrych chwil, ile starganych nerwów zawdzięczał marszałek French tym personalnym zadrażnieniom z lordem Kitchenerem.

Jeżeli zatrzymałem się tak długo na wypadku z dziejów angielskich, to uczyniłem to jedynie dlatego, że możliwość takich tarć właśnie w Anglii wydawała mi się zawsze najmniej prawdopodobną. Istotnie Anglia w odróżnieniu od całego kontynentu posiada silnie rozwinięty rys wybitnego cywizmu w swoim charakterze narodowym. Ta najstarsza w Europie demokracja, która swe ostatnie wstrząśnienia przeżyła gdzieś aż w epoce Cromwella, w ewolucyjnym swym nieprzerwanym rozwoju wypracowała tak rozpowszechniony i tradycyjnie utrzymujący się szacunek wzajemny urzędów i obywateli, że nawet grzeczność pomiędzy wrogami personalnymi jest tam obowiązkiem. Gdy więc w Anglii personalne stosunki naczelnego wodza z członkami rządu mogą znaczyć tyle, cóż mówić o innych bardziej nerwowych lub bardziej brutalnych narodach.

Wojna zawsze jest naprężeniem nadzwyczajnym sił, energii i nerwów ludzkich, i nic dziwnego, że różne uczucia i praca duszy ludzkiej przejawiają się w tych epokach silniej i jaskrawiej. Dlatego też nie znam prawie wojny, którą studiując, nie spotkałbym przejawów tarć personalnych pomiędzy naczelnym wodzem i członkami rządu. Komuż nie jest znana zacięta, niezmordowana walka, która się toczyła w głównej kwaterze niemieckiej pomiędzy Hindenburgiem i Ludendorffem a kanclerzem Bethmannem-Hollwegiem; Ludendorff i Bethmann-Hollweg jeszcze po wojnie ostrymi i niechętnymi wyrażeniami docinali swym przeciwnikom. W sąsiednim państwie, w Austrii, zacięte walki i intrygi prowadzono pomiędzy Wiedniem a Cieszynem ¹⁾. Każdy wie, że tradycją austriacką były «Hofkriegsraty» ²⁾, które, opierając się o autorytet cesarza, próbowały z Wiednia, jeśli nie kierować wypadkami wojennymi, to przynajmniej dokuczać naczelnym wodzom. Świadectwa arcyksięcia Karola, arcyksięcia Albrechta i Conrada von Hoetzendorf ³⁾

¹⁾ Cieszyn był siedzibą c. i k. Naczelnej Komendy Armii podczas wojny.

²⁾ Rady koronne wojenne.

³⁾ Mowa o t. V pamiętników p. t. «Aus meiner Dienstzeit 1906—1918» gen. hr. Franza Conrada von Hoetzendorf, który był szefem sztabu gener. austr. podczas wojny światowej.

dają obfity materiał faktów, które na przebieg wojny miały o wiele znaczniejszy wpływ, niż spory pomiędzy marszałkiem Frenchem i lordem Kitchenerem.

Najklasycyzniejszym może przykładem z ostatniej doby historycznej byłby gen. Nivelle, który w 1917 r., podczas silnej ofensywy wiosennej, padł ofiarą ostrych tarć pomiędzy nim, jako naczelnym wodzem francuskim, a panami, stanowiącymi w owe czasy rząd w Paryżu. Pomimo nadzwyczaj interesujących szczegółów tego tarcia nie chcę wchodzić w ściślejszą ich analizę, gdyż boję się, że oparłbym się na zbyt jednostronnych dokumentach. Nie chciałbym jednak ominąć w zupełności tego faktu bez oświetlenia pewnych szczegółów. Tarcia były tak namiętne i tak silne, że przedmiotem sporów stały się drobne nawet szczegóły operacyj, zakrojonych na wielką miarę. W naradach, które z tego powodu prowadzone były w Paryżu pomiędzy dwoma gabinetami: paryskim i londyńskim, premier angielski, Lloyd George, wypowiedział się w tej sprawie w sposób następujący: «My nie mamy potrzeby znać detali, które interesują bardziej tych, którzy ponoszą odpowiedzialność wyraźną za prowadzenie operacyj militarnych. My wolimy, ażeby generałowie zatrzymali dla siebie to, co się tyczy ich planów wykonawczych. Jeżeli się je napisze na papierze, dla zakomunikowania ministrowi, rzadkim jest wypadek, aby ministrowie byli jedynymi, którzy znają te detale. A jest rzeczą bardzo ważną, ażeby detale pozostały tajemnicą. W Anglii — dodał z dumą pan premier — nie stawiamy podobnych pytań, zresztą nasi generałowie nigdy nas nie ośmielają do tego, odnosimy się do nich z szacunkiem, na jaki zasługują, i powstrzymujemy się od wszelkiej niedyskretnej ciekawości».

Z prawdziwą przyjemnością cytuję te słowa angielskiego premiera, uznając zarazem, że godnym szacunku jest i taki rząd, który tak szanuje swoich naczelnych wodzów.

Jeżeli z trudnością dałoby się twierdzić, że silne tarcia w owym czasie pomiędzy gen. Nivelle a rządem paryskim były przyczyną i jedynym powodem wybuchu silnych niezadowoleń, prawie buntów, w wojsku francuskim, to niewątpliwie mają niektórzy autorowie rację, że dysonans między gen. Nivelle a rządem francuskim przyczynił się w znacznej mierze do tych smutnych zjawisk. Kilka rad wojennych, zwołanych w tym czasie, nieskończone dyskusje w tej sprawie w parlamencie, odwoływanie generałów, dowodzących wojskiem, podczas ważnych operacyj wojennych dla odzyskania z nimi tych narad — wszystko to nie mogło nie wywołać wśród wojska zachwiania zaufania do dowództwa i do rządu, i musiało stwo-

rzyć podłoże do kursowania najrozmaitszych legend, plotek i opowiadań, ubliżających powadze zarówno generałów, jak i rządu.

Jeśli tarcia personalne podczas wojny pomiędzy wojskowymi dają się najczęściej zneutralizować, a nawet niekiedy można ich zupełnie uniknąć, to całkiem inaczej wyglądają tarcia pomiędzy ludźmi, reprezentującymi politykę państw w stanie wojny, a naczelnymi wodzami, dającymi siłę ramienia swemu krajowi i dyrygującymi właściwą istotą zjawisk wojennych — operacjami w polu. Tarcia, zdaniem moim, są nieodzowne, są koniecznością, wynikają z istoty pracy dziejowej, zwanej wojną. Polityka i działanie wojenne w ciągu wojny stoją zbyt często ze sobą w sprzeczności. I niech nikt nie sądzi, że w jakimkolwiek stadium wojny dadzą się te sprzeczności w jakimkolwiek sposób usunąć. Rozwiązać sprzeczność — można, ale tylko za pomocą decyzji, uszczuplającej żądania i wymogi albo polityki, albo działań wojennych.

Nic więc dziwnego, że wszyscy, którzy się teorią wojny zajmowali lub wojnę na stanowiskach decydujących przeżyli, nie mogli nigdy łatwo przejść do porządku dziennego nad tą koniecznością wojny.

Kilka przykładów chciałbym przytoczyć dla zilustrowania tej sprawy. Na początku wojny w 1914 r. Francja dla celów całkiem politycznych, w które wchodzić nie chcę, nakazała wojsku przy osłonie swych granic i koncentracji swych armij cofnąć swe oddziały od granicy co najmniej na kilka kilometrów, nieraz wbrew zdrowemu sensowi taktyki wojennej. W innym kraju, w Niemczech, rozpoczęcie walki na morzu za pomocą łodzi podwodnych dało powód do ciężkich tarć, gdzie po jednej stronie stał kanclerz ze swoimi wymogami czysto politycznej natury, z drugiej — dowódcy wojenni z żądaniami, wypływającymi z natury operacyj militarnych. W Rosji atak na Wschodnie Prusy, który się skończył katastrofą przy Mazurskich Jeziorach, był nakazany wbrew głosom dowódców, żądających zwłoki. W umyśle rządu rosyjskiego i w. ks. Mikołaja przeważyły wtedy względy polityczne nad wymogami czysto wojennymi.

Ta zasadnicza sprzeczność odczuć się daje wyraźnie prawie w każdej większej decyzji wojennej. Gdy się zaś wciągnie w rachunek i kalkulację wewnętrzny stan narodu, kraju, czy państwa, prowadzącego wojnę, i odniesie ten szereg zjawisk do dziedziny politycznej, to nie ma prawie kroku na wojnie, w którym nie ważyłyby się szale, z których na jednej napis brzmi: «polityka», na drugiej — «działania wojenne». Rzeczy

nierozzerwalne, a tak, niestety, często pomiędzy sobą sprzeczne! Ileż klęsk i porażek zna historia wojen z powodu nieroztropnego zrównoważenia szal na tej wadze dziejowej!

Ludzkość rozstrzygała być może, niestety, tyle swoich zagadnień za pomocą wojny, że problem powyższy był nieraz obiektem rozmyślań i rozważań wielu myślicieli, wielu mężów stanu i z natury rzeczy wielu wielkich wodzów wojennych. Każdy naczelny wódz, w każdej wojnie, w pierwszej chwili swojej pracy ciężar tego problemu ma na swoich barkach. I czy chce, czy nie chce, czy o tym myślał kiedykolwiek przedtem, czy lekkomyślnie od problemu się usuwał, uciekając do szczegółów techniki, musi z tym zagadnieniem mieć do czynienia, musi nad rozwiązaniem sprzeczności się biedzić, nerwy swe w poszukiwaniu rozstrzygnięć szarpać i pracować nieledwie codzien udatnie czy nieudatnie nad zestawieniem swego technicznego rachunku, do którego wedrzeć się muszą cyfry, znaki i hieroglify o naturze politycznej. Odwrotnie, każdy rząd i ludzie, go składający, także czy chcą, czy nie chcą, czy są rozważni, czy lekkomyślni, będą musieli w trwożliwych często rachunkach politycznych czekać nadejścia piekących ogniem cyfr, znaków i hieroglifów, mówiących o operacjach wojennych, o kurzawie bitewnej i błyskawicach i gromach, którymi znaczą losy kraju i losy swoje wodzowie naczelni. Tarcia w tej sprzeczności, spory nieraz namiętne z powodu tego problematu są, powtarzam, nieuniknione i konieczne, i nie należy nigdy tchórzliwie zamykać oczu przed tą wielką prawdą życia wojennego.

Tarcia te i spory wraz z rozwojem komplikacyj zarówno w dziedzinie techniki wojennej, jak i życia społecznego i politycznego, wynikają łatwiej i trudniejsze są do usunięcia.

Technika pracy wodzów naczelnych staje się coraz bardziej niezrozumiała nie tylko dla ludzi, nie mających z wojaskiem do czynienia, lecz nawet dla przeważnej większości podwładnych im oficerów. Odwrotnie, praca polityczna na naczelnych stanowiskach wymaga coraz wyższego wykształcenia i większej wprawy, niż to było dawniej. Dlatego też przy końcowym wciąganiu przy rachunku działań wojennych politycznych cyfr i znaków, i odwrotnie — przy konieczności wpływu pracy wojennej w polu na życie polityczne, społeczne i na stosunki międzynarodowe, łatwo jest o spory, gdy rzeczy, jasne dla jednej strony, są niezrozumiałe dla drugiej, gdy, że tak powiem, alfabet, czytany łatwo przez jednego, staje się jakimś chińskim hieroglifem dla drugiego. Problem w tych warunkach, nawet przy dobrej wierze, zaplątuje się niesłychanie, nie

mówiąc o tym, że każda zła wola, każda niechęć doprowadzić może do zupełnego niezrozumienia się.

Charakterystycznym np. było dziwaczne nieporozumienie w tarciach gen. Nivelle'a z rządem paryskim. Na podstawie słów jednego z deputowanych, który był w kwaterze głównej jednej z armij francuskich przez czas pewien, oskarżano w Paryżu głośno gen. Nivelle'a o neliczenie się zupełnie ze stratami. Atak bowiem na pozycje fortu Brimont¹⁾ miał jakoby kosztować 60.000 krwawych strat ludzkich. Powoływano się przy tym na zdanie generała, który miał dowodzić tym atakiem. Można wyobrazić sobie zdumienie i oburzenie gen. Nivelle'a na swego podwładnego. Wiedział bowiem, że siły, wyznaczone do ataku na tę pozycję, w swym stanie bojowym nie dochodzą do wymienianej liczby. Przy przeprowadzonym śledztwie okazało się, że generał, na którego się powoływano, podał liczebność oddziałów, mających atakować Brimont mniej więcej na 60.000 ludzi, prawdopodobnie wliczając w to cały stan żywnościowy oddziału, który niekiedy stanowi dwa razy większą liczbę, niż stan bojowy, narażony na krwawe straty. A jednak pomimo tak wyraźnego nonsensu połowa parlamentu, a wraz z nią prawdopodobnie połowa Paryża przez tydzień co najmniej poza plecami gen. Nivelle'a brała za dobrą monetę oczywisty absurd, opowiadając o krwiożerczości i dzikiej bezwzględności generała głównodowodzącego.

Przyjaciel mój, autor następnej rozprawy, rozważając ten problem, nie dotknął prawie tej koniecznej sprzeczności, jaka istnieje, zdaniem moim, podczas wojny pomiędzy polityką a działaniem wojennym. Przechodzi on bez zatrzymywania się nad zasadniczą stroną kwestii do wyrozumowanego stwierdzenia konieczności skoordynowania całej pracy wojny i do próby znalezienia metody prawnej dla tego celu. Ujmując słusznie «réalité des choses»²⁾ wojny, wie dobrze, że decydująca i najważniejsza część pracy wojennej państwa czy narodu jest na placu boju, tam, gdzie dzierży władze i rozstrzyga losy całego kraju nie kto inny, jak wódz naczelny. Wyciąga więc stąd wniosek, że musi on być częścią składową tego rządu, który przed całym państwem czy narodem niesie odpowiedzialność za po-

¹⁾ Brimont, fort w depart. Marne (Francja płn.-wsch.). Gdy w czasie swego odwrotu z nad Marny w 1914 r., Niemcy opuścili Reims, fort Brimont (odległy o 10 km na płn.) zatrzymali w swoich rękach. Liczne próby francuskie w ciągu 1916—1917 r., zmierzające do odebrania Brimont nie miały powodzenia. Dopiero na początku października 1918 r. Niemcy Brimont opuścili.

²⁾ Istota rzeczy.

myślność walki orężnej. Znając doniosłość działań wojennych dla pracy politycznej i lekko tylko zarysowując konieczność uwzględnienia spraw natury politycznej w rachunkach i kalkulacji czysto wojennej, szuka on możliwie ścisłego kontaktu, możliwie masowej łączności tych, co pracę polityczną prowadzą, z tym, co miecz trzyma w dłoni. Szuka więc nakazu prawa, musu ustawy dla jednej i dla drugiej strony, łączy bowiem w jednej instytucji rządu główne osobistości polityczne wraz z wodzem naczelnym.

Rozstrzygnięcie to wydaje mi się w zasadzie słusznym, chociaż niechybnie daje niejedną moralną i techniczną trudność do przewyciężenia. Osobiście przy swoich długoletnich studiach nad wojną i jej zagadnieniami w każdej ze studiowanych historii wojen natykałem się na ten problem z jego sprzecznościami. Nie będąc zaś w swojej karierze życiowej jedynie wojskowym i przeszedłszy w życiu swoim różnego rodzaju prace polityczne, łatwiej może, niż inni, dostrzegałem całą grozę sytuacji, całą śmieszność nieporozumień i całą trudność rozwiązywania tych niechybnych sprzeczności w codziennym życiu wojny. Ogromnym ułatwieniem w dzisiejszych czasach dla spokojnego rozważania tego problematu jest olbrzymie doświadczenie, którego ludzkość nabyła w tej dziedzinie przez ostatnie wstrząśnienia olbrzymiej wojny, tak niedawno zakończonej. Wypadki te tak ogromnej miary, które wciągały w życie wojny i w czynny oraz świadomy w niej udział nieledwie każdego obywatela czy poddanego wszystkich państw i narodów Europy, zostawiły niechybnie szerokie podłoże dla zrozumienia tych zagadnień, podłoże o znacznie wyższym, znacznie jaśniejszym poziomie myśli i wykształcenia. Obawiam się, że jest gorzej z tym podłożem u nas, w Polsce.

Tutaj bowiem olbrzymia większość obywateli i obywateli Polski była tylko biernym, wystraszoną tłumem ludzi, na których plecach, kosztem ich życia i mienia, odbywali inni swe eksperymenty wojenne. Na całej prawie przestrzeni naszego kraju milionowe armie obu przeciwników przetańczyły parokrotnie krwawego kontredansa, uważając Polaków raczej za mierzwę wojny, niż za aktorów dziejowej tragedii.

Techniczne trudności rozwiązania tego problemu, które daje p. Miles, polegają, zdaniem moim, głównie na tym, że wódz naczelny w swej pracy bardzo często nie ma możliwości obcowania bezpośrednio z głównymi mężami stanu. P. Miles chce przez swoje rozstrzygnięcie osiągnąć wspólne ponoszenie odpowiedzialności i stworzyć konieczności wspólnego przeżywania trwóg, nadziei, wątpliwości i złudzeń ze wspólnej pracy

głównych ludzi narodu, prowadzącego wojnę. Ułatwia to olbrzymie wyjaśnienie sprzeczności, wiąże ludzi, odpowiedzialnych za losy wojny, silniej węzłami solidarności pracy, niż jakiegokolwiek inne rozstrzygnięcia. Przy nieobecności jednak jednej ze stron i to głównej — naczelnego wodza, w chwilach częstych kryzysów wojennych trzeba bardzo silnych nerwów nie u naczelnego wodza, lecz u strony innej, dla wytrzymania dręczącej niepewności i niepokojących zagadek kryzysowych. A pamiętać należy, że wszystkie kryzysy wojen czy bitew wymagają tak wyczerpującej pracy i tak wielkiego napięcia nerwów wojsk i naczelnego wodza, że ten przeżywać te momenty musi zawsze w najściślejszym związku nie z kim innym, jak z najbliższymi towarzyszami broni.

Przy studiach swoich nad historią wojen napotykałem na różne próby rozstrzygnięcia zagadnienia, jak w pracy wojenej łączyć z sobą wymogi polityczne z zadaniami działań wojennych. Najdalej idącym rozstrzygnięciem jest danie absolutnej prawie przewagi stronie politycznej, która rozstrzyga o operacyjnych decyzjach, przygotowywanych przez wojskowych. Ten typ rozwiązania problemu spotyka się jedynie tam, gdzie kraj, prowadzący wojnę, przeżywa równocześnie wielką polityczną walkę wewnętrzną, a więc we wszystkich wojnach rewolucyjnych. Tak wielka rewolucja francuska przystawiała do wszystkich dowódców komisarzy konwentu, którzy mieli absolutną przewagę nad generałami, kontrolując nie tylko ich prawomyślność rewolucyjną, lecz i poszukując elementu zdrady w decyzjach wojennych. Ten sam przykład mieliśmy u przeciwnika naszego w ostatniej wojnie. I tu byli również komisarze sowieccy, którzy, pilnując «speców» wojskowych, mieszały się w każdą decyzję, rozstrzygali często swoją władzą wątpliwości wojenne.

Nie chcę się zatrzymywać na analizie tak wyjątkowych stosunków. Urządzenia takie wnoszą tak głęboko w organizm wojskowy i państwowy konieczność tarć personalnych i tak daleko rozszerzają dziedzinę sprzeczności pomiędzy polityką a działaniami wojennymi, że tylko wyjątkowymi środkami — terorem — daje się zatrzymać cała budowa. Zdaniem moim, jedynie nadzwyczajne napięcie nerwów i niezwykle po prostu wysiłki, wywołane w ludziach przez wstrząśnienia rewolucyjne, upoważnić mogą do przypuszczenia, że w takich warunkach mogą być jakiegokolwiek szanse zwycięstwa. We wszystkich innych spotykanych konstrukcjach nigdy nie było tak daleko idącej przewagi jednego czynnika nad drugim.

Najdłuższym może dziejowo był system monarchistyczny.

gdzie cały ciężar rozstrzygnięcia wzajemnego stosunku czynnika politycznego i technicznego podczas wojny leżał na barkach króla, cesarza czy księcia. To znaczy, że wszystkie sprzeczności w każdej fazie wojny rozstrzygniętymi być mogły przez jednego człowieka. Obojętnym w tym wypadku było, czy dynasta, «z łaski bożej panujący, rozstrzygał to sam osobiście, czy oddawał to rozstrzygnięcie w ręce czyjekolwiek, chociażby w ręce faworyta czy nawet ciała zbiorowego.

Ostatnie słowo, słowo decyzji, stwierdzone podpisem, należało do niego. To samo działo się, może z wyjątkiem Anglii, i w monarchiach konstytucyjnych do ostatnich czasów, gdy stan wojny, wprowadzający zwykle prawa wyjątkowe, dawał w ręce monarchów i nadzwyczajne przywileje władzy, i siłę postępowania.

To najprostsze rozstrzygnięcie spotkamy również w najstarszej i najsilniejszej zarazem demokracji świata historycznego republice rzymskiej. Rzym niechybnie w porównaniu ze światem ówczesnym był państwem bardzo demokratycznym. Ba, pod wielu względami prześciga on swymi urządzeniami i duchem demokracji życie nowożytne. Nieustanne, wielkie spory plebsu i patrycjuszów, dające zwycięstwo aż do epoki cesarzów zawsze plebsowi, przewyższają pod względem napięcia i natężenia, z wyjątkiem może okresów rewolucyjnych, wszystko, co znamy z dziejów walk stronnictw i tarć socjalnych w nowoczesnych demokracjach. A jednak mimo tych walk wzrasta potęga wiecznego miasta, narzucającego coraz szerzej i dalej swą władzę miastom, plemionom, krajom i narodom. Przy nieustannych walkach wewnętrznych Rzym prowadzi przy tym nieustanną też wojnę zewnętrzną. Republika rzymska stworzyła epokę w dziejach całego świata. Wpływ jej cywilizacji trwa dotychczas. Musiała być w urządzeniach rzymskich nadzwyczajna siła, musiało być w prawach wojennych niezwykle zrównoważenie mądrości politycznej i siły wodzów wojny, gdy tak olbrzymie efekty osiągnięto.

Wojny prowadzili tam zwykle konsulowie, którzy zarazem byli najwyższymi urzędnikami cywilnymi republiki. Łączono więc znowu w jednej głowie mus rozstrzygnięcia wszystkich sprzeczności zadań wojennych, wszystkich agresyj polityki do działań na polu bitwy. Najjaskrawiej jednak ilustrują ten system postępowania Rzymian chwile nadzwyczajnych niebezpieczeństw. Ustanawiano wtedy «dictatora», dla którego wszystkie zastrzeżenia demokratyczne, które jeszcze dla konsułów istniały, cofano doszczętnie. Dawano mu termin półroczny dla trwania jego absolutnej władzy. I pomimo, iż dzieje Rzymu,

jak powtarzam, dają obraz namiętnie nieraz prowadzonych sporów i walk wewnętrznych, pomimo, że tarcia socjalne nieraz były tak głębokie i upodobniały się prawie do wojny domowej, nie znają dzieje Rzymu aż do epoki poczynającego się cezaryzmu ani zamachu stanu «dictatorów», ani podejrzeń i obaw, że taki absolutny pan republiki po upływie swego półrocznego terminu władzy tak rozległej nie złoży. Ta nadzwyczajna siła cywizmu republiki rzymskiej zostawiła także niezrównane wzory takich właśnie «dictatorów». Któż bowiem z marzycieli, śniących o silnych demokracjach, nie zna imienia Cincinata, co zubożały przez zapłacenie wysokiej kary pieniężnej za ekscesy w walkach domowych swego syna, oderwany został od pług, by stanąć, jako «dictator», w obronie zagrożonej ojczyzny. Po upłynięciu swego półrocza i zwycięskim usunięciu niebezpieczeństwa wrócił spokojnie do przerwanej pracy przy uprawie swego pola.

Jeżeli p. Miles w swej próbie rozstrzygnięcia problemu polityki i działań wojennych szuka możliwego zbliżenia w jednej instytucji przedstawicieli obu czynników wojny, to rzeczy można, że najsilniejsza demokracja świata — rzymska — posunęła w chwilach niebezpieczeństwa tak daleko owo zbliżenie, że umieściła je w jednej głowie. Mus wtedy zbliżenia się obu czynników, działających przy niebezpieczeństwie państwowym, jest tak wielki, że jedynym pytaniem, jakie w tych warunkach postawić można, to to, czy głowa danego człowieka od sporu wewnętrznego nie pęknie, czy serce nacisk niebezpieczeństwa wytrzyma, czy nerwy wreszcie dadzą możliwość zharmonizowania wszystkiego w nieustanne akty woli, przy zawsze chwiejnych, zawsze wątpliwych losach wojny.

Ustrój więc monarchiczny i strój republikański Rzym doprowadzał, jak widzimy, do jednakowego rozstrzygnięcia. W obu wypadkach dawano politykę i miecz, będące tak często w sprzeczności i w sporze, jednej głowie, jednym ręką i jedną woli. Różnicą zaś zasadniczą było to, że w Rzymie szukano w chwili bezpieczeństwa człowieka, gdy monarchie na traf i wypadek urodzenia się takiego człowieka na tronie czekać musiały. Znajdziemy też w dziejach wielkości państw monarchistycznych u podstawy tej wielkości zawsze ten traf urodzenia się człowieka na tronie. Chrzcici historia tych ludzi nie tylko w swoim kraju, lecz w całej ludzkości mianem wielkich. Są oni jednocześnie mężami stanu większej miary i stwarzają nieraz epoki w dziedzinie sztuki wojennej. Rozbiorcze państwa, sąsiadujące z nami, znają tych wielkich. Piotr Wielki w Rosji, Fryderyk Wielki w Prusach są tymi ludźmi, którzy w jednej głowie

wie łączyli problemy polityki wewnętrznej i zewnętrznej z najbardziej technicznymi zadaniami wojny. Cóż mówić o największym z takich, o wielkim Napoleonie, cesarzu Francuzów. Błyskawicznymi zwycięstwami łamał, jak nikłe słomki, wiekowe budowle ludzkości, posługując się tryumfem bojowym dla celów politycznych, i odwrotnie, czynił sobie zwycięstwo łatwym przez mądrą przebiegłość wielkiego męża stanu.

Pomimo jednak, że te najprostsze rozstrzygnięcia pociągały zawsze i niechybnie pociągać będą ludzi ku sobie podczas kryzysów dziejowych, podczas wojen, trudno przypuszczać, by systemy rzymskie bez dusz rzymskich i systemy monarchiczne bez monarchów nie napotkały nieprzewyżczonych przeszkód przy próbach urzeczywistnienia. Zresztą, że powtórzę raz jeszcze, dzisiejsze życie społeczne i polityczne oraz sama technika życia ludzkiego daje tyle zagadnień i tyle pracy, że ustawy i prawa z trudem ułożyć się dadzą w najprostsze, w tak mało skomplikowane ramy.

Sądzę jednak, że wielu mi przyzna rację, gdy wypowiem główną zasadę, wyciągniętą przeze mnie z moich studiów nad wojną.

Każda wojna nasuwa wszystkim tyle wątpliwości i tyle trwogi, że olbrzymia większość ludzi staje w razie jej nadejścia w pewnej bezradności i w poczuciu bezsilności w stosunku do wielkości zagadnienia. W takim stanie, jak przy każdym wielkim wstrząśnieniu, ludzie, wiednie i bezwiednie, poszukują człowieka lub niewielkiej ilości ludzi, którym, słusznie czy niesłusznie, przypisują siłę i tężyznę ducha oraz zdolność i umiejętność, przewyższającą przeciętną miarę danego narodu czy obywateli państwa. Jeżeli więc trudno przypuszczać, by najprostsze rzymskie rozstrzygnięcie, wybieranie jednego człowieka, mogło być urzeczywistnione, to niechybnie współczesne rozstrzygnięcie da kilku czy kilkunastu ludzi, na których głowy, serca i nerwy spadać będzie cały ciężar problemu wojennego. Wśród tych ludzi, jak słusznie dowodzi p. Miles, największa część ciężaru spadnie na tego, kto ma być wodzem naczelnym. A jeśli czytelnik zechce łaskawie pamiętać wszystkie rzucone przeze mnie przed jego oczy przykłady tarć i sporów i ich skutków podczas wojny, to może razem z p. Milesem dojdzie do przekonania, że nakaz wszystkich zmuszać powinien tych kilku czy kilkunastu pracować z sobą jak najściślej i jak najbardziej łącznie. Stwarza się w ten sposób najdogodniejsze warunki dla utrzymania autorytetu władzy politycznej oraz największe szanse dla uproszczenia kalkulacji polityczno-wojennych w pracy naczelnego wodza. Praca zaś jego, jak słusznie

twierdzi p. Miles, jest decydująca dla losów wojny, gdyż w ostatnim rachunku rozstrzygnięcie ich pada nie gdzie indziej, jak na polach bitewnych.

Jeden z wielkich teoretyków wojny, von der Goltz¹⁾, porównyując pracę ludzką w najrozmaitszych funkcjach państwowych, twierdzi, że najcięższą, najwięcej wysiłku umysłu, woli i nerwów wymagającą jest funkcja naczelnego wodza podczas wojny. Bez względu na normy ustaw czy praw, postawiony on jest w głównym ognisku wielkiej maszyny wojennej i każde koło i kółko zaczepia o niego w ten czy inny sposób, czyniąc swoje prawidłowe funkcjonowanie zależnym wprost od sukcesu jego pracy. Jasnym by był z tego wywód, że im mniej ten ogrom kół zaczepi o nerwy naczelnego wodza, im mniej jest niepotrzebnych szarpnięć i złośliwych tarć, tym łatwiej może on przepracować swą decyzywną robotę. Zawsze, gdym myślał o wielkiej prawdzie von der Goltza i gdym zestawiał ją z tym mnóstwem wstydlivych zakątków historii wojen, o których pisałem wyżej, stawała mi przed oczami smutna postać jednego z naczelników wodzów wielkiego państwa — Kuropatkina. Wszystkie powyżej wyłuszczone wywody i wszystkie myśli można, zdaje się, najlepiej zilustrować jednym przykładem z jego działalności — momentem, gdy gen. Kuropatkin w walnej rozprawie z Japończykami pod Liaoyangiem²⁾ w ostatnim dniu tego boju decydował o losach bitwy, o losach swoich i o losach swego kraju.

Kariera gen. Kuropatkina w Rosji nie była zwykłą; pracował on jako szef sztabu przy efektownym, zdolnym i śmiałym gen. Skobielewie, który w opinii świata rosyjskiego dorastał do znaczenia bohatera narodowego w wojnie z Turkami i w wyprawach turkiestańskich. Wyszedł gen. Kuropatkin na ministra spraw wojskowych nagle i niespodziewanie, wywyższając się ponad wszystkich generałów, odrabiających swoją karierę długimi latami służby, i rozniecił tym niezadowolenie w wielkim świecie petersburskim, jako jakiś parweniusz, który zawdzięcza swe stanowisko głównie swym zdolnościom i pracy. Był przeciwnikiem zadzierania z Japończykami i opierał się ekspansywnej polityce Rosji w kierunku t. zw. Wielkiego

¹⁾ Mowa o Kollmarze von der Goltz, feldmarsz. prus., który długi czas pracował w biurze hist. niem. sztabu gener. Należał on do wybitnych pisarzy wojsk. niem. i ogłosił szereg prac, które zyskały rozgłos. Najważniejsze z jego dzieł są: «Das Volk in Waffen» i «Von Rossbach bis Jena». Pamiętniki jego zostały opublikowane w latach 1919—1920.

²⁾ Liao-jiang-czou, zwane Laojanem lub Liaoyang, miasto w prow. Ki-lin w Mandżurii (Chiny półn.), gdzie dn. 3 września 1904 r. odbyła się rozstrzygająca bitwa w wojnie ros.-jap., zakończona klęską Rosjan.

Wschodu. Promotorem tej właśnie polityki był na wschodzie admirał Aleksiejew, jak powiadają, spokrewniony z lewej strony z dworem, który zrobił sobie na wschodzie nieledwie udzielne księstwo, pełne przepychu i luksusu, i który z całą pogardą lekcewał sobie wszystkie ludy Wschodu łącznie z Japonią. Kręcili się przy nim różnego rodzaju niepewni ludzie, aferzyści, brudni geszefciarze bankowi, leśni, kolejowi, portowi. Gdy wreszcie Aleksiejew doprowadził do wybuchu wojny, został jako głównodowodzący na wschodzie w pierwszych bitwach przez Japończyków sromotnie pobity. Na ratunek wtedy posłano, jako głównodowodzącego sił lądowych, gen. Kuropatkina, zostawiając nad nim, jako głównodowodzącego nad armią i flotą, namiestnika Dalekiego Wschodu, admirała Aleksiejewa, który świeżo od swojej floty w Porcie Artura wycofał się szczęśliwie do dalekiej stolicy Mandżurii — Mukden.

Nie znam pobudek, które skłoniły Kuropatkina do przyjęcia tego posterunku. Może był do tego zmuszony. W każdym razie poczynił pewne kroki ostrożności, i jako swego szefa sztabu wybrał gen. Sacharowa, którego brat miał zastąpić samego Kuropatkina na stanowisku ministra spraw wojskowych w Petersburgu.

Od samej chwili przybycia gen. Kuropatkina do głównej kwatery w Liaoyangu rozpoczęła się ostra, zjadliwa walka pomiędzy Liaoyangiem a Mukdenem. Walka ta odbywała się na tle sprawy Portu Artura. Gen. Kuropatkin zdecydował nie dać się wciągnąć w żadną wielką bitwę, nim nie będzie miał dostatecznej ilości wojska, i jako miejsce koncentracji korpusów, przybywających z Rosji, przeznaczył Liaoyang. Odwrotnie, admirał Aleksiejew, lekceważąc zupełnie przeciwnika, pchał ustawicznie do otwarcia drogi do Portu Artura, żądając oswoobodzenia związanej w Porcie Artura floty i uważając nieledwie za tchórzostwo ostrożność Kuropatkina. Jeżeli starcia pomiędzy Steinmetzem a Moltkem i Fryderykiem Karolem dawały iskry, tu swobodnie buchał już pożar, oświetlający plotki, obmowy, kpiny i wszelkiego rodzaju ukłucia i poniżenia, jakich się swobodnie dopuszczano w Mukdenie w stosunku do parwniusza Kuropatkina. Stało się zwyczajem zatrzymywanie transportów wojskowych w Charbinie czy Mukdenie dla sformowania niezależnych od Kuropatkina oddziałów, zmuszając tym generała do upokarzających targów. Zwyczajem też była złośliwa praca poza plecami Kuropatkina w Petersburgu dla obniżenia autorytetu generała, który opuścił najwyższy posterunek wojskowy w państwie dla objęcia dowództwa w polu. Petersburg

dawał też odczuć Kuropatkinowi w dalekiej Mandżurii, że jego czasy członka rządu już minęły i że pogodzić się musi, jako parweniusz, z brakiem wpływów i brakiem znaczenia w głównym centrum państwa.

Z różnych drobnych uwag, rozsianych w wielu wspomnieniach i pamiętnikach z tych czasów, widać, że gen. Kuropatkin cierpiał bardzo z powodu tego miliona szpilek, ukłuc i inwektyw, które znosić musiał w przeciągu kilku miesięcy, poprzedzających bitwę pod Liaoyangiem.

Szarpało mu to nerwy, przeszkadzało nieraz pracować. Przeglądając zaś korespondencję urzędową z tego czasu gen. Kuropatkina z gen. Aleksiejewem, spostrzegalem wyraźnie, jak zrównoważony, spokojny, z pewnym odcieniem wyższości ton korespondencji zmienia się powoli w ton znacznie mniej opamiętany, rozdrażniony i złośliwy. W takim stanie osłabionych nerwów przyjął Kuropatkin pierwszy wielki bój, próbę sił obu przeciwników, bitwę pod Liaoyangiem. Dziwna bitwa! Zrazu Japończycy uderzyli ze swą przedziwną odwagą i brawurą, z pogardą śmierci, na przygotowane zawczasu pozycje pod Liaoyangiem. Przyzwyczajeni dotychczas do przewagi nad nieprzyjacielem, nie przedsiębrali może zbyt ostrożności, szli szybko, by w gwałtownym szturmie złamać nieprzyjaciela. Po paru dniach boju pierwszy promyk tryumfu w tej kampanii zaświecił nad stroskaną głową Kuropatkina. Skrzwawione, niekiedy zdziesiątkowane bataliony i dywizje japońskie zaległy w bezsilności przed pozycjami, nie uzyskawszy nigdzie większej przewagi, nie zrobiwszy nigdzie większego wylomu w pozycjach nieprzyjacielskich. Kuropatkin daje rozkaz przygotowania się do kontrataku. Wysyła do Petersburga nieledwie tryumfujące depesze o zwycięstwie. W tej sytuacji następuje fakt niespodziany, który maćmi nieco obliczenia Kuropatkina, lecz jak gdyby rozmyślnie stwarza nowe warunki, dające mu w ręce nieledwie ułatwienie dla pobicia przeciwnika. Na skrajnym prawym skrzydle japońskim gen. Kuroki, dowodzący 1-szą armią japońską, dostrzegłszy wzmocniony ruch pociągów, idących ku północy — do Mukdenu, osądził, że jest to oznaką cofania się rosyjskiego i zdecydował się na krok nadzwyczajnie śmiały. Przerzucił mianowicie trzy i pół dywizji, będących w rezerwie, na drugą stronę rzeki po jednym tylko moście, by uderzyć na flankę cofającej się jakoby rosyjskiej armii.

Na pierwszą wieść o tym wypadku Kuropatkin, nie wiedząc zresztą o sile Kurokiego, zdecydował się zmienić front,

zebrać przeciwko nowemu przeciwnikowi prawie «gros» swojej armii, mianowicie — 4 i pół korpusów swego wojska, by Kurokiego zdusić i wyrzucić z powrotem do rzeki. Była to ostatnia faza boju pod Liaoyangiem.

Kuroki wkrótce spostrzegł, że o pościgu, tak, jak marzył, nie było mowy, znalazł się w opresji i przeszedł prawie zupełnie do defensywy, przerywanej tylko od czasu do czasu kontratakami. Gdym studiował dzieje tej bitwy, największą ciekawość budził we mnie ostatni dzień boju. Kuropatkin dnia tego z każdą chwilą tracił pewność siebie. Z niedawnego jeszcze zwycięzcy zmienił się stopniowo w złamanego moralnie człowieka. Jedno z pięknych określeń Napoleona mówi, że «le chef doit avoir une tête froide», musi mieć zimną głowę, by należycie i spokojnie oceniać wypadki, nie denerwować się tym czy innym niepowodzeniem, nie tracić nerwów przy kalkulacji częściowych zwycięstw. Dla takiej «tête froide d'une chef» trzeba mieć nerwy spokojne, nerwy, nie dopuszczające zbyt silnych wrażeń, zbyt łatwych impresyjnych pojęć o wypadkach i zdarzeniach. Tej «tête froide», tych spokojnych nerwów Kuropatkin ostatniego dnia nie wykazał. Przecenił te czy inne niepowodzenia; inteligentny, wykształcony jego umysł nie zdołał wiązać wypadków z sobą. Oczy wodza nie dostrzegały zmęczenia nieprzyjaciela, zatrzymania prawie zupełnego kontrataków. Umysł przestał brać w rachubę swoje własne siły, których miał jeszcze poddostatkiem dla dnia następnego. Kuroki z trudem dotrzymywał placu. Świadczy o tym fakt, że jego bohaterska 15-ta brygada (część 2-ej dywizji), postawiona w najgorętszym miejscu boju, gdy nazajutrz zesza z pozycji, nie była w stanie ugotować sobie ryżu. Gen. Jan Hamilton, attaché angielski przy armii Kurokiego, cudowny w swych zapiskach o wojnie japońskiej, mówi, że parę szwadronów jazdy odkomenderowano specjalnie po to, by wyczerpanym w boju kolegom z 15-ej brygady gotowali strawę. Tenże świadek naoczny mówił, że gdy dnia tego wszedł na pagórek, skąd sztab Kurokiego obserwował bitwę, poczuł prawie fizycznie jak gdyby niechęć i nienawiść Japończyków do cudzoziemca, mogącego obserwować ich klęskę i przegrana.

Gdy się śledzi w tym ostatnim dniu boju z godziny na godzinę bieg raportów i rozkazów Kuropatkina, wydać się może, że gdzieś u najwyższego sędziego wiszą i wahają się wielkie szale na wagach, na których miecze rosyjskie i japońskie dla zważenia złożono. Szale tak się chwieją, jak gdyby zupełnie już zrównoważyć się miały. Brak ostatniego ciężaru na tej

lub innej wadze. Do szali japońskiej nikt już nic dorzucić nie zdoła. A na szalę rosyjską nic prócz ostatniego słowa Kuropatkina spaść nie może, i ostatnie słowo padło: wstecz! Kuropatkin nakazał cofanie się.

Wielki sztab niemiecki («Grosser Generalstab»), wydając analizę tego boju, kończy określeniem, że był to bój w całej wojnie najważniejszy, gdyż złamał on gruntownie «morale» rosyjską, dając Japończykom aż do końca wojny wielką przewagę moralną i olbrzymią pewność siebie, której do boju pod Liaoyangiem nie mieli. Ktoby temu nie chciał wierzyć, tegoby niechybnie przekonało studium następnej bitwy, t. zw. bitwy na Sza-he. Kuropatkin bój ten prowadzi drżącą ręką. Trwoga już dyktuje mu jego rozkazy. Dostyc obserwować ruchy prawego skrzydła, gdzie oficerowie rosyjscy sami mówili, że posuwają się dwa kroki naprzód, a jeden lub dwa w tył. Dostyc przeczytać, ile przestróg, ile nakazów wahania się i ostrożności idzie od Kuropatkina do decydującego lewego skrzydła, gdzie jedna marna maleńka rezerwowa brygada japońska trzyma trzy dni w szachu całą armię gen. Stackelberga. Wydaje się, że groźny duch Liaoyangu stoi na straży pozycji tej brygady, grożąc ognistym mieczem nawet wtedy, gdy brygada już swe pozycje opuściła.

Nerwy gen. Kuropatkina były rozbite. Jeden z jego przyjaciół opisuje zmiany, jakie w nim zaszły po boju pod Liaoyangiem. Kuropatkin przywitał go dobrotliwym, jak gdyby zażenowanym uśmiechem. Miał oblicze zestarzałe («osunuwszejesia lico»). W porównaniu z czasami petersburskimi miał ruchy niepewne i nerwowe. Skarżył się ustawicznie na intrygi petersburskie, a radość wyraził jedynie z powodu wyjazdu Aleksiejewa do Rosji.

Obiektywne warunki boju pod Liaoyangiem dawały, zdaniem moim, prawie pewność zwycięstwa rosyjskiego. Nie wytrzymały tylko nerwy Kuropatkina, które tak nieużytecznie i tak nikczemnie targano ze wszystkich stron przed bojem. Drogo też Rosja zapłaciła za stargane nerwy swego naczelnego wodza w bitwie pod Liaoyangiem. Cała polityka Wschodu, koleje i porty poszły na marne. A po przegranej wojnie miano, jako skutek porażki, rewolucje i zamieszki wraz z osłabieniem autorytetu państwa w całym świecie. Tyle stanowić mogą, a nieraz i więcej, nerwy naczelnego wodza, ten może najcenniejszy materiał na wojnie.

Gdym przejrzał wszystko, com napisał na poparcie tez p. Milesa, dając te strony życia wojny, których p. Miles poru-

szać nie chciał, a które nazwałem «wstydliwymi zakątkami historii», dostrzegłem w swej wyobraźni tyle twarzy znajomych, radośnie uśmiechniętych. Więc wszędzie, z wyjątkiem Rzymu i to tak dawnego, wszędzie to samo. Więc o cóż chodzi, jak było wszędzie, tak będzie i u nas, nie chcemy być gorsi od całego świata. Jeżeli takie wrażenie zostawił — żałuję; jeżeli kogokolwiek oświecił i nauczył — dziękuję, że to potrafił.